

Spółdzielnia

30 sierpnia 2017

Gołębki, to podwarszawska osada utworzona przez Władysława Grabskiego, premiera i ministra Skarbu. Kilka lat zamieszkiwał tu również prezydent Stanisław Wojciechowski, skoligacony zresztą z Grabskimi. Wszyscy, łącznie z Stanisławem Grabskim, ministrem Wyznań Religijnych i Oświecenia, należeli do obozu Narodowej Demokracji. Ale w Gołębkach osiedlali się również mniej liczni piłsudczycy. Dlatego osada w okresie międzywojennym, podzielona była na dwa zwalczające się obozy.

Obecnie dworek Grabskich wraz z rodziną, zamieszkuje poślanka PO Małgorzata Kidawa-Błońska, córka prof. Macieja Grabskiego. Dziadkowie będący narodowcami, a przede wszystkim wybitni i wielce zasłużeni dla Ojczyzny pradziadkowie Kidawy-Błońskiej, ze wstydu przewracają się w swoich grobach. Nie mogą zrozumieć, jak to się stało, że ich prawnuczka znalazła się w zorganizowanej grupie przestępczej nazywanej w skrócie PO. Do tego jeszcze wraz z setkami wyrafinowanych złodziei i zdrajców uczestniczyła w antypolskich burdach organizowanych przez zdegenerowanych przez szekle Sorosa kodziarzy. Sam nie mogę pojąć jak można być w bliskiej komitywie z takim tłumokiem jak Kopaczka, folksdojczem Tuskiem, czy największą złodziejką w dziejach Warszawy Hajką Grindberg, wyjątkową żdzirą spod znaku menory. A w ogóle nie mogę się nadziwić, jak szlachcianka z dobrego domu może zadawać się z żydowskimi grabieżcami. Ale nie o tym ma być ta opowieść. Jednak przelewa się we mnie czara goryczy i czasem mam potrzebę wylania z siebie nadmiaru żółci.

Miałem może sześć, a może siedem lat, kiedy mama zaczęła wysyłać mnie po zakupy. Najbliżej był sklep pana Markowskiego, trochę dalej, przy stacji PKP w Gołębkach, kiosk spożywczy pani Miłoszewskiej.

Z czasem robienie zakupów stało się jedynym z moich obowiązków

i zimą brnąłem przez zaspy po chleb, masło, kilo mąki. Latem tę niezbyt odległą drogę przebywałem swoim jedynym w życiu własnym pojazdem. Jako chłopiec, byłem szczęśliwym posiadaczem hulajnogi.

Od czasu do czasu, po poważniejsze zakupy, musiałem wędrować prawie na drugi koniec Gołąbek, do spółdzielni. Tak powszechnie mówiło się na sklep WSS „Społem”. Znajdowało się tam chyba wszystko, co potrzebne na co dzień w gospodarstwie domowym.

To była cała wyprawa. Zaopatrzony w siatkę wiążaną z nylonowego sznurka w duże oczka, i drugą misternie plecioną ze skórzanych rzemyków, pieniądze i listę potrzebnych w domu artykułów, wychodziłem z domu.

Droga była prosta. Najpierw szedłem pod jesionami, później pod starymi rozłożystymi klonami, gdzie między konarami uwijało się mnóstwo ptaków i wiewiórek. Bardzo lubiłem te drzewa. Latem dawały cień, jesienią mieniły się tysiącem kolorów, a zimą śwista między skrzypiącymi konarami mroźny wiatr tworząc w czasie zawiei wysokie zaspy.

Spółdzielnia znajdowała się w parterowym domku przy alei wysadzonej dorodnymi kasztanowcami, wśród których zawsze uwijało się ptactwo. Przed sklepem stało kilka rowerów, czasem furmanka, jeszcze rzadziej auto. Właściwie, jeśli do spółdzielni przyjeżdżał samochód, to raczej ciężarówka z zaopatrzeniem. Pamiętam, że wchodząc do sklepu, przyspieszało mi tętno. Już w sieni drażniły zapachy. Cudowny aromat świeżutkiego, chrupiącego pieczywa, mieszał się z chmielowym zapachem piwa. Mdła woń mydła przebijała zapach kiszonych ogórków pływających w ogromnej dębowej beczce. Wtedy mój młody nos potrafił wyłowić jeszcze wśród wielu innych zapach cynamonu, smakowitych paczków nad którymi latem krążyły osy, mięty z zielonych cukierków, a nawet aromat tytoniu zawartego w paczkach papierosów misternie poukładanych na półkach gdzieś niedaleko stosów konserw rybnych. Konserwy mięsne były

luksusem i jak się pojawiły, to ludzie wykupowali je natychmiast. Mięso wieprzowe też było rarytasem, ale na wołowinę ludzie kręcili nosem. Często była baranina, którą konwojenci wciskali na siłę do sklepów, bo choć była za bezcen, to ludzie nie chcieli jej brać. Tak ryb było w sklepie pod dostatkiem. Samochód ze świeżymi rybami przyjeżdżał co drugi dzień. Pamiętam, że zawsze były wędzone szprotki i ogromne dorsze. Może mi się wydaje że ogromne, bo sam byłem mały, ale nie miały na pewno mniej jak pół metra długości. Tak, bo ludzie prosili o pół dorsza. Nawet pamiętam, że kilogram kosztował 5 zł, kilo cukru 10.50, chleb 3.10, pączek 2 zł tyle co bułka paryska. Obłędnie droga była czekolada. Tabliczka kosztowała 19 zł, ale za to była niezwykle pyszna. Bo to była czekolada Wedla. Wtedy firma była polska i liczyła się na całym świecie. Rozgadałem się chyba za bardzo.

Niemal przez całą długość sklepu ciągnęła się lada. Za ladą stała wesoła, korpulentna, ale ładna sklepowa, jak powszechnie nazywano sprzedawczynię. Kolejka posuwała się wolno, bo panna Marylka musiała ukroić z wielkiego bloku cudownie pachnącego masła, wyjąć trzy dorodne śledzie z dębowej beczki, nasypać z worka kilogram cukru i odciąć kostkę mydła „Biały jeleń”. Produkty misternie pakowała w różne rodzaje papieru. Smalec lub masło w pergamin, kiełbasę w biały papier, a mydło w szary.

Kiedy ekspedientka podliczała ołówkiem wartość zakupu, często klientce przypominało się, że trzeba jeszcze kupić 10 jajek z których każde posiadało na skorupce fioletowy stempel gwarantujący świeżość. Zakupy przedłużały się, ale nikt nikogo nie popędzał. Bo do spółdzielni przychodziło się nie tylko po zakupy. To było miejsce spotkań mieszkańców Gołębek i nie tylko. Życie płynęło wolniej, ludzie mieli czas dla znajomych.

Kiedyś zaparkowałem swoją hulajnogę obok kilku rowerów, kupiłem pyszną oranżadę od pana Gontarka i wyszedłem przed sklep. Zazwyczaj stało tu kilku mężczyzn popijających piwo i wspominających dobre, przedwojenne czasy, lata okupacji,

wojnę. Miałem czego słuchać.

Wewnątrz sklepu plotkowały kobiety. Pamiętam, że miały zawsze problem: co dzisiaj ugotować na obiad. Mężowie domagali się mięsa, a to było drogie. Rybami gardzili do tego stopnia, że na ścianie sklepu któryś nocą namalował farbą olejną napis: „Jedzcie dorsze, gówno gorsze”.

Tego dnia mężczyźni stojący pod sklepem, byli jacyś markotni, bez humoru. Nagle jak błyskawica pojawił się kominiarz Wacek. To był młody, niezwykle wesoły chłopak z pobliskiej warszawskiej Woli. Zajechał z fasonem pod sklep i oparł swój rower o siatkę. Za moment wybiegł z piwem w garści ze spółdzielni i znalazł się wśród innych mężczyzn. Po trzech minutach wszyscy zanosili się śmiechem. Nie zdążyłem dopić oranżady, kiedy Wacek, a za nim inni wbiegli do sklepu. Kominiarz wrzucił pustą butelkę po piwie do skrzynki i jednym susem przeskoczył ladę deklamując jakiś krótki wierszyk o miłości. Następnie ucałował zaskoczoną sklepową w oba policzki, zostawiając dwa czarne ślady.

Panna Marylka oblana rumieńcem, ku zdziwieniu wszystkich klientów oddała pocałunek w jednym miejscu na policzku Wacka, które nie było przyczernione sadzami, pozostawiając czerwony od szminki, wyrazisty odcisk swoich ust. Wszyscy zaczęli bić brawo.

Z czarnej gęby Wacka zaiskrzyły radością białka oczu i rozochocony chwycił ekspedientkę wpół usiłując pocałować ją w usta. Ale tu dziarski kominiarz się przeliczył. Marylka najpierw wyrznęła Wacka w czerep papierową torbą pełną mąki, a następnie zaczęła energicznie okładać zalotnika kijem od szczotki. Kurzyło się na przemian to czernią sadzy, to bielą mąki, aż wreszcie Wacusiowi udało się czmychnąć przed sklep.

Tego dnia kominiarz nie wszedł już do spółdzielni i piwo kupowali mu koledzy. Zyskał również przydomek. Od tamtej pory wszyscy na Wacka wołali...Młynarz. Ale tego dnia wydarzyło się

coś więcej. Zrodziła się miłość. Po kilku miesiącach przyszedł dzień, kiedy Młynarz zamienił czarny uniform ze srebrnymi guzikami na wytworny garnitur, a panna Marylka zamiast białego fartucha założyła śnieżnobiałą suknię i wspaniały ślubny welon.

Na zakończenie tego wątku miałem zamiar porównać starą spółdzielnię i sprzedawaną niegdyś zdrową, pyszną żywność do współczesnych żydowskich hipermarketów, gdzie w ramach depopulacji (ludobójstwa) ludzie kupują wstrętne, zatrute, opakowane w plastik żarcie. Ale po co psuć wesele?

Minęło 10 lat. Kiedyś jako instruktor harcerstwa i pełnoletni już chłopak, wróciłem nocnym pociągiem z obozu harcerskiego. Kiedy wychodziłem z podmiejskiej kolejki było już przedpołudnie, a mnie się chciało bardzo pić. Poszedłem zatem napić się nadal pysznej oranżady do starej spółdzielni.

W sklepie dwóch starszych panów reprezentujących jeszcze dawne stronnictwa, popijając piwko, prowadzili zażarty spór polityczny. W pewnym momencie na drodze wysypanej leszem, pojawił się milicjant, niejaki Szmulewicz, którego tata nosił kiedyś nazwisko Szmul. Była to kanalia niezwykła, polująca na elementy antysocjalistyczne, tak jak dziś żydzi polują na „antysemitów”. Co prawda konsekwencje krytykowania komunistów nie były tak dotkliwe jak dziś krytykowanie żydów, ale mogli np. nie dać mieszkania. Dlatego widząc funkcjonariusza, popijając oranżadę, odwróciłem się do starszych panów i ostrzegłem:

– Cicho panowie, dzielnicowy!

Szmulewicz jechał do spółdzielni zapewne na piwo, bo upał robił się niemiłosierny, a i podsłuchać może coś się uda? Kiedy milicjant miał już skręcać pod spółdzielnię, z sąsiedniej posesji, przez uchyloną furtkę wybiegł pies i biegnąc za rowerem obszczekiwał milicjanta, który zapalczywie usiłował kundla kopnąć. Kiedy to się udało, psiak w odwecie

chwycił mocno zębami za portki milicjanta i szarpiąc je z całych sił, wyrwał dzielnicowemu kawał nogawki.

– Ty skurwysynu! – wrzasnął funkcjonariusz zatrzymując gwałtownie rower, po czym wyjął z kabury tetetkę i wystrzelił.

Szmulewicz to nie tylko cham, kretyn i bydlę, ale również kiepski strzelec. Pod psiakiem od uderzenia kuli rozbryznął się lesz, wystraszony kundel dodatkowo hukiem zaczął uciekać w kierunku nowo budowanego domu. Dzielnicowy niezwłocznie podjął pościg.

– Stój bo strzelam!!! – wrzasnął.

W tym momencie starszy pan, który właśnie miał pełną buzię piwa, bryznął tym piwem po całej ścianie sklepu, a pani Marylka dławiąc się od śmiechu, krzyknęła:

– Posikam się!

Ale akcja trwa dalej. Funkcjonariusz biegnąc strzela do psa, a ten klucząc między koziołkami cegieł i z podkulonym ogonem przeskakiwał różne wertepy i zanim dzielnicowy wystrzelał cały magazynek, pies zniknął. Po chwili milicjant również zniknął z pola widzenia rozbawionych klientów sklepu. Widać było tylko wolno, jak na filmie w zwolnionym tempie poruszającą się i kiwającą na boki niebieską czapkę ponad stosem cegieł. Zapadła grobowa cisza. Czapka przesuwała się i przesuwała, powoli i w pewnym momencie ona też znikła. Wreszcie po 2 – 3 minutach ciszę przerwały najwymyślniejsze przekleństwa jakich nie ma nawet w Słowniku Wulgaryzmów PWN i ukazała się cała postać funkcjonariusza. Jednak jego spodnie nie były czarne i dół marynarki od munduru nie był już niebieski. Milicjant okryty był białą, lepką mazią. Okazało się, że Szmulewicz wpadł do dołu z lasowanym wapnem przygotowanym przez murarzy do sporządzania tynków. Takie wapno często przysypywano cienką warstwą piasku, by nie wysychało. Debil nie domyślał się co może być pod piaskiem i wskoczył w sam środek dołu. Teraz przedstawiciel reżymu miotając przekleństwa na psa i

wszystkich wokół, włókł się w kierunku studni, by zmyć palącą maź. A obserwatorzy, zaśmiewając się radośnie, nie odbierali tego zajścia jako wypadek czy ludzki dramat, lecz raczej jako dobry spektakl komediowy, który zesłał im szczęśliwy los. Bo oto przez przypadek, znienawidzonego funkcjonariusza komunistycznego, spotkała zasłużona kara.

W sklepie zapanowała atmosfera zgody i pojednania, a zwycięstwo kundla nad uzbrojonym przedstawicielem reżymu, fetowano do wieczora.

Z takim „poparciem” społeczeństwa, komunizm musiał kiedyś upaść.

Autorstwo: Cezary Piotr Tarkowski

Źródło: Patriota-Tarkowski.blogspot.com